

KULTURA

Wydawca w czasach przełomu

Od Jaruzelskiego do Kisielewskiego.
Jestem jedynym szefem wydawnictwa,
który przetrwał rewolucję 1989 r.

Rozmawia Robert Walenciak

Pamięta pan ten moment, kiedy brał pan Iskry?

– Pamiętam. To był rok 1987. I już wyczuwalny zmierzch formacji, dla której pracowałem.

Jako kto?

– Byłem sekretarzem kolejno dwóch członków kierownictwa partii. Pierwszy z moich szefów, u którego pisałem doktorat, Marian Orzechowski, w owym czasie był już ministrem spraw zagranicznych. A drugi, Tadeusz Porębski... W tym czasie jego pozycja w partii na tyle osłabła, że był do wyautowania. Tak też się stało, został wicemarszałkiem Sejmu, a później ambasadorem gdzieś tam krótko. Musiałem więc sobie szukać jakiegoś miejsca. Nie ukrywam, miałem propozycje w samym KC, związane z awansem itd. Ale nie bardzo się w tym widziałem.

Nie chciałem stanowisk

Polityka pana nie pociągała?

– Nie. Choć byłem założycielem PRON. Ponieważ pierwszym sekretarzem generalnym był Orzechowski, razem z nim przeprowadzałem rozmowy z ludźmi, których chcieliśmy pozyskać do tego PRON. Nikt nie chciał! Stan wojenny jeszcze furczy. Jedni przychodzą i mówią „tak”. Ale z trudem. Drudzy – „nie”, mimo że są partyjni. Robert Satanowski powiedział: „Mam tę legitymację partyjną.

Nie oddałem jej, bo już mam tyle lat, że mi się nie chce. Ale jak będziecie mnie naciskać, to ją oddam! I do żadnego PRON nie pójde”.

Kandydatem generała na szefa PRON, przed Dobraczyńskim, był Gieysztor. I byłby na pewno lepszym nazwiskiem. Ale odmówił. Znam tę historię. Generał czerwony na twarzy. Jeszcze próbuje: „Panie profesorze, proszę się jeszcze zastanowić, ten pociąg już ruszył. Jeszcze zdąży pan wsiąść do ostatniego wagonu”. Na co Gieysztor: „Ale ja, panie generale, nigdzie nie chcę wyjeżdżać”.

Skończyłem prawo i filozofię, doktoryzowałem się z nauk politycznych, więc wydawnictwo – to się jakoś układało.

Takie bicie głową w mur może do polityki zniechęcić.

– Pozycja sekretarza sekretarza, czyli człowieka w cieniu, ale z większymi prawami, bo można było prowadzić normalne życie, odpowiadała mi. Obejmowanie stanowisk, a byłem po takich rozmowach – nie bardzo. Mogłem też zostać w kancelarii Sekretariatu KC, w takiej grupie, która pracowała na rzecz gen. Jaruzelskiego. Mogłem zostać zastępcą kierownika w wydziale ideologicznym. Już byłem po rozmowach.

A powrót na uczelnię?

– Nie bardzo mogłem wrócić na uczelnię, bo to był już czas dość nieżyczliwy dla kolegów, którzy byli w Białym Domu. A ja poniechałem

w pewnym momencie habilitacji, już usadowiłem się w Warszawie. Sprawy były zatem trudne i ciężkie. Wtedy pojawił się Ryszard Frelek, pisarz i sekretarz KC, z którym się kolegowałem, który mi powiedział: „Słuchaj, a może ty byś poszedł do jakiegoś wydawnictwa?”. Byłem członkiem Towarzystwa Bibliofilskiego, zbierałem książki, miałem dwa własne exlibrisy i czytałem nałogowo. Pomyślałem: „Może to jest jakieś wyjście?”. Skończyłem prawo i filozofię, doktoryzowałem się z nauk politycznych, więc wydawnictwo

– to się jakoś układało. Był jednak konkurs! Wprawdzie z handicapem, ale był. Miałem trzech kontrkandydatów, trzeba było z nimi wygrać. Tak się stało, że tych trzech pokonałem. **I poszedł pan na zderzenie z rzeczywistością.**

– Jestem jedynym ówczesnym szefem wydawnictwa, który przetrwał rewolucję 1989 r. Dla mniej zorientowanych – w owym czasie szef wydawnictwa to było stanowisko frontu ideologicznego. W sposób naturalny to był ktoś, kto podejmował decyzje, co się wydaje. Choć był jeszcze pilnowany przez cenzurę i przez władzę polityczną. To był ktoś, kto nie musiał się znać na ekonomii, bo wydawnictwo w realnym



WIESŁAW UCHAŃSKI

socjalizmie nie mogło zbankrutować. W związku z tym jedynym jego zajęciem była gra pomiędzy różnymi środowiskami. Pomiędzy pisarzami, którzy coś kontestowali, pomiędzy KC, który tego pilnował, i cenzurą, która mówiła „nie”. To było takie zajęcie i, szczerze mówiąc, wielu kolegów było w tym świetnych. Andrzej Kurz w Wydawnictwie Literackim, Andrzej Wasilewski w PIW, Stanisław Bębenek w Czytelniku. To były nazwiska ludzi, którzy mają wielkie zasługi dla ruchu wydawniczego, realnego w tamtych czasach. Ale po roku 1989 zdecydowana większość tych kolegów odeszła.

Musieli?

– Wymiotły ich załogi, mówiąc krótko, ale nie tylko – bo także naturalna polityka. Jedynym, który to przetrwał, byłem ja. I nie tylko przetrwałem, ale jeszcze się uwłaszczyłem za wolą załogi. Bo w tajnym głosowaniu wybrała mnie na strategicznego inwestora, czyli właściciela powyżej 50% udziałów. Wiele razy zadawałem sobie pytanie, dlaczego tak się stało. Dwa lata wcześniej przychodzi człowiek z KC,

przyniesiony w teczce, nie budzi to entuzjazmu, także w liberalnych gronach partyjnych, pytają, dlaczego tam poszedł. A potem go wybierają. **Dlaczego?**

– Myślę, że chyba zadecydowały moje wcześniejsze kontakty. To, że Iskry zaczęły wydawać, jeszcze w czasach ancien régime’u, Marka Nowakowskiego, Stefana Kisielewskiego, Mariana Brandysa...

Moje poczucie winy

To autorzy Iskier z końcówki lat 80.! Co panu przyszło do głowy, żeby ich wydawać?

– Iluś ludzi myślało, że to był z mojej strony wyrafinowany pomysł na przetrwanie. Że to było niezwykle sprytne. Mnie się zdaje, że o takich rzeczach decydują przypadki. Zresztą należę do tych, którzy uważają, że przypadek jest konstytuujący czasami bardziej niż nasze zabiegi i starania. I tak było. Ale – i tu nie było przypadku – miałem jako człowiek książki naturalne poczucie winy wobec tych środowisk. Technicznie to w ogóle wyglądało tak – wydałem

książkę Mariana Brandysa „Generał Arbuz”, był chyba rok 1988.

O gen. Zajączku.

– Zawiozłem mu książkę do Konstancina, bo tam bawił. Poznałem wtedy jego żonę, Halinę Mikołajską. I jakoś tak się zrobiło, że pan Marian mnie polubił. Ale powiedział do mnie: „Wie pan, jest taka sprawa, tu jest Kazio Orłoś, to wspaniały chłopak, nie chcą mu wydać tej »Cudownej meliny«, to już leży 20 lat, Giedroyc to wydał”... Pan Marian prowadził taki salon, towarzyski, literacki, ludzie ze środowiska u niego bywali. Więc odparłem: „Dobrze, chętnie się z nim spotkam”. I spotkałem się. Przyszedł i powiedział: „Ja to ja, ale mój przyjaciel Marek Nowakowski nie jest wydawany”. Wiele słyszałem o Marku Nowakowskim, bardzo go lubiłem, choć bardzo mi się nie podobał jego „Raport o stanie wojennym”. Ale jak przyszedł Marek, to mi się spodobał jako człowiek i szybko ześmy się zaprzyjaźnili. To były czasy, kiedy dość łatwo można było się zaprzyjaźnić. **Nie traktowali pana jako komucha, gościa z KC, reprezentanta tamtej władzy?**

– To mnie zadziwia, że nie! Mówimy szczerze – ja się z nimi zaprzyjaźniłem. To były bliskie związki. A szczególnie ze Stefanem Kisielewskim. To były wielogodzinne spotkania towarzyskie face to face, rozmowy o wszystkim, zostawanie powiernikiem rozmaitych tajemnic, z których nigdy nie można zrobić użytku, no bo nie. I to się potoczyło w jakiś sposób samo.

W ten sposób wybronił się pan przed karzącą ręką nowej władzy.

– Być może to zadecydowało. Ale może i to, że Iskry nie były takim kaskiem z punktu widzenia ewentualnych sukcesorów ze środowisk, które władzę i różne dobra przejmowały. PWN zostało przejęte szybko, również PIW, Czytelnik. Ponieważ iluś ludzi miało na to apetyt. Iskry były, z punktu widzenia odbioru, drugoligowym wydawnictwem. Jaka była różnica? Taka, że szefowie wydawnictw, kilku najważniejszych, byli w nomenklaturze Biura Politycznego KC PZPR. Biuro decydowało, kto ma być prezesem. A Iskry były w nomenklaturze sekretariatu Komitetu Centralnego. Czyli oczko niżej. Iskry nie miały żadnego majątku. Nie miały własnych pomieszczeń. Jedy- nym majątkiem był stary samochód i powielacz – i to wszystko. Być może to spowodowało, że nikt się mną specjalnie nie interesował.

Alkohol w dobrej sprawie

Jedzie pan do Mariána Brandysa. Jego żoną jest Halina Mikołajska, wielka aktorka, zaangażowana w działalność KOR. A tu przyjeżdża człowiek prosto z KC. Jak takie zdarzenie wyglądało?

– Miałem lekkie poczucie winy. I nawet czułem, że moja wizyta być może wygląda niezręcznie. Ale to jest zawsze tak, że ktoś pierwszy otwiera drzwi. Być może Marian Brandys jako pierwszy otworzył drzwi i dał sygnał. Może wyraził to na swoim salonie: nie jest z nim tak źle, jak można było sądzić. Mogłem mu się spodobać, znałem jego twórczość dobrze.

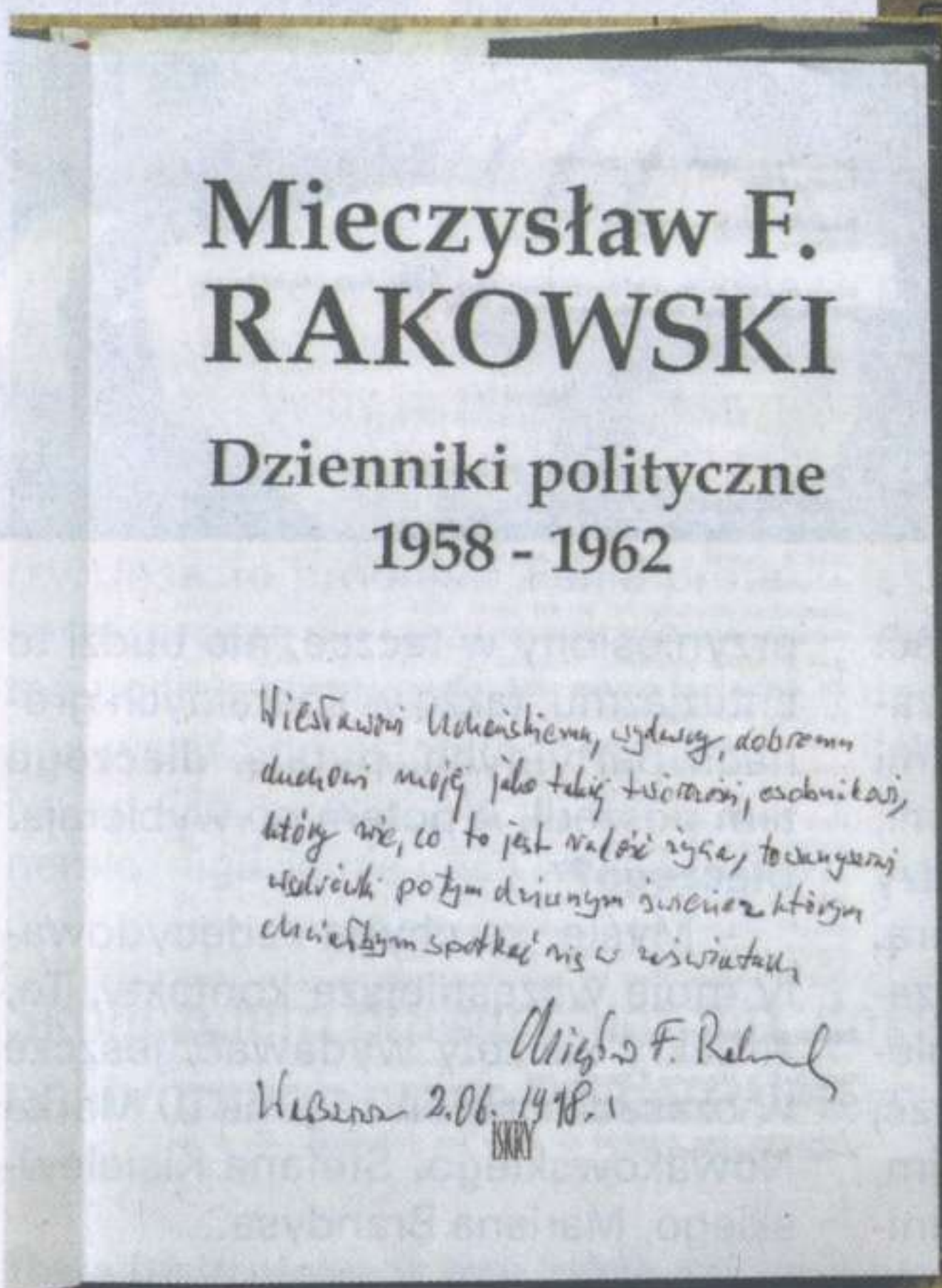
Może tym ich pan ujął? Erudycją, czytaniem?

– Być może. Rzeczywiście, wiedziałem, kto to jest Marian Brandys.

Przeczytałem chyba wszystkie jego książki. A potem wydałem jeszcze kilka. A to buduje pewien rodzaj relacji. Nie mówię o osobistym wdzięku czy sposobie komunikacji. Może nie wyglądałem jak klasyczny urzędnik partyjny? Marian pewnie otworzył kluczykiem te drzwi. A potem pojawiali się następni.

Stefan Kisielewski!

– Stefan Kisielewski pojawił się za sprawą Józka Hena. Było to chyba ostatnie spotkanie noworoczne z ludźmi kultury, które gen. Jaruzelski wydawał w Pałacu Namiestnikowskim, na początku 1988 r. Tam spotkałem Józia Hena, którego dobrze znałem. Zaczęliśmy rozmawiać,



odprowadzałem go i Hen mnie zagadnął: „Mówił mi Stefan Kisielewski, że on by chętnie coś wydał”. To ja, wróciwszy do domu, napisałem do Stefana Kisielewskiego: „Szanowny panie, chętnie wydałbym którąś z pańskich książek”. Nie robiąc sobie żadnych nadziei. Tymczasem oddzwoniła żona pana Stefana i powiedziała, że mąż wyjechał, ale bardzo chętnie wróci do tej sprawy. Za jakiś czas nastąpiło spotkanie. Bardzo szybko przetłumaczyliśmy lody. Mówmy tu szczerze o pewnej rzeczy – łatwiej nawiązywało się wtedy kontakty. Mianowicie myśmy używali alkoholu. Nie ma co tego ukrywać. Ja lubiłem alkohol,



Tadeusz Boy-Żeleński, Franciszka Fiszer, Jerzy Waldorff, Marian Brandys i Stefan Kisielewski na portretach autorstwa Szymona Kobylińskiego.

Przyszła do mnie Rakowski i powiedział: „Całe życie pisałem, mam rozmaite zapiski, czy robimy coś z tego, czy nie robimy?”.

nie robiłem tego wbrew sobie. Moi goście też znosili to bardzo dobrze. To był pewien sposób łączenia.

A jak pan wydawał Kisielewskiego czy Marka Nowakowskiego, to partia nie burczała?

– Partia myślała, że mam jakieś szczególne prawa, skoro sobie pozwalałam na takie rzeczy.

Na książkę Kisielewskiego z Pałacem Kultury na okładce.

– To była „Podróż w czasie”. Dostałem od niego dedykację: „Mojemu przywrócielowi”... Jak to napisać, to mu powiedziałem, że nie mówi się przywrócieli, tylko przywrócieli. A on odpowiedział: „Mnie się nie



poprawia". I tak zostałem przywrócić. To był rok 1989, kwiecień, ale oczywiście umowa była o wiele wcześniejsza, z 1988 r. Z zaznaczeniem w stopce: I wydanie Instytut Literacki, Paryż 1982. W tej sprawie zresztą dzwonił do mnie Giedroyc i odbywaliśmy rozmowy. Przy normalnych łączeniach. A towarzysze myśleli, że ja mam gdzieś na wysokim szczeblu uzgodnienie, że należy czynić tego typu ruchy. Że może to część jakiejś uzgodnionej politycznej gry. A ja z nikim tego nie uzgodniłem! **Ale mieli prawo uważać, że pan uzgodnił. Że pan może.**

– Prawdą jest, że byłem w zażyłych stosunkach z wieloma członkami kierownictwa. Powiedziałbym, że w serdecznych, towarzyskich stosunkach. Z Kazimierzem Barcikowskim – byłem z nim nawet na ty. Z moim szefem, wówczas ministrem spraw zagranicznych, również. Z Włodzimierzem Mokrzyńskim... Właściwie ze wszystkimi. Wszystkich znałem bardzo dobrze. Znałem też Wojciecha Jaruzelskiego, bo protokołowałem niektóre zamknięte spotkania i konwentykle. Taka historia – protokołowałem

posiedzenie Biura Politycznego. Jak się rozpoczynało, to generał wchodził, a wszyscy członkowie Biura wstawali. A on po kolei z każdym się witał: dzień dobry, towarzyszu, dzień dobry, towarzyszu, dzień dobry, towarzyszu... A ja, protokolant, stałem na końcu. Byłem w swetrze. On mi podaje rękę i, uśmiechając się, mówi:

Należę do tych, którzy uważają, że przypadek jest konstytuujący czasami bardziej niż nasze zabiegi i starania. I tak było.

„Dzień dobry, panie Uchański”. Oczywiście towarzysze wszyscy w śmiech, ale taki pogodny. Mieszkaliśmy na Sza-rej, gdzie mieszkali wszyscy przyjezdni członkowie kierownictwa.

W hotelu.

– I choćby stamtąd ich znałem. Było więc podejrzenie, że mam na taką politykę wydawniczą jakąś szczególną zgodę. I nawet kiedy cenzura zgłaszała uwagi, to nie do treści, tylko do tej okładki, którą oglądaliśmy, czyli Pałacu Kultury z czerwoną flagą. Swoją drogą, redaktorem tej książki był późniejszy, epizodyczny,

rzecznik Porozumienia Centrum. Ale ani w wydziale kultury KC, ani w Ministerstwie Kultury nikt mi z tego powodu nie robił żadnych wyrzutów.

Partia milczała.

– Partia milczała, bo była już wtedy zajęta zupełnie innymi sprawami. Śmieszna historia... Miałem jeszcze obok siebie innego silnego, życzliwego mi człowieka – to był Stefan Bratkowski. Bo wydałem jego książkę „Jak robić interesy razem”. To jedna z tych pozytywistycznych Stefanowych koncepcji, które uwielbiał. Kiedyś byłem umówiony ze Stefanem Kisielewskim i zaraz po nim wszedł Bratkowski. Jeden wychodzi, drugi przychodzi, mijają się w drzwiach i Kisielewski z całą swoją złośliwością, witając się z nim, mówi: „A pan nie w Magdalence?”

Noc 13 grudnia spędziłem w budynku KC

Trzeba wielkiej umiejętności, żeby dogadywać się z różnymi ludźmi. Bo to różne charaktery, różne poglądy, różne miejsca po obu stronach barykady.

– Pan redaktor pyta o moją osobistą sztukę hipokryzji? Przecież nie da się w każdym momencie stawiać do walki o własne poglądy polityczne. Więc raczej starałem się w rozmowach z autorami takich tematów unikać. Podejmować je tylko wtedy, kiedy były istotne. I muszę przyznać,

że rzeczywiście nigdy nie popadłem z nimi z tych powodów w jakiś rodzaj konfliktu! Więcej! Byłem dla nich dość egzotyczny.

Czyli ciekawy.

– Byłem egzotyczny dla Stefana Kisielewskiego, który mnie wypytywał, jak KC w środku wyglądał. On przecież napisał powieść o KC, „Widziane z góry”, gdzie pojawiają się i Starewicz, i różne inne postacie. Był szalenie ciekawy, i on, i inni, jak to życie w KC w ogóle wyglądało. „Jak podejmowane były decyzje?”. „Czy o mnie coś mówiono?”. W takich



Byłem sekretarzem kolejno dwóch członków kierownictwa partii.

▶ pytaniach wychodził autorski egotyzm. Stefan Bratkowski bardzo pytał, czy jego nazwisko pojawiało się w jakichś dyskusjach. W każdym razie to była pełna egzotyka. Dodajmy, że noc 13 grudnia spędziłem w budynku KC.

Miał więc pan co opowiadać!

– Ale ci wszyscy, którzy byli wtedy w gmachu KC, nie wiedzieli, co się dzieje! To miejsce jest zmitologizowane. Większość kolegów w ogóle nie wiedziała, że coś będzie się działo. Nawet kierownicy wydziałów

nam. Wtedy mój szef, kiedy wychodziliśmy z hotelu, zatrzymał mnie: „Ale weź szczotkę do zębów. I jeszcze jakieś rzeczy osobiste”. Trudno było nie zgadnąć dlaczego. Ale i tak było to ciekawe dla moich rozmówców, kiedy im o tym opowiadałem. Słuchali. A ja czułem się trochę jak adiutant z Wilczego Szańca.

Byli ciekawi, jak działała ta machina.

– Oczywiście. I pewnie stanowiłem dla nich zaskoczenie, że odbiegałem od potocznych wyobrażeń o lokatorach tamtego budynku.

Ja się z moimi autorami zaprzyjaźniłem. To były bliskie związki. Szczególnie ze Stefanem Kisielewskim.

nie wiedzieli. Mnie też nikt oficjalnie nie wzywał, żeby poinformować.

W takim razie po co pan tam był?

– W tamtym czasie wprowadzono całodobowe dyżury w KC. Takie dyżury to wojskowy obyczaj, a generał usiłował te obyczaje wojskowe przenieść na partię. Tak lubił – dyżur, czuwamy, jesteśmy gotowi, wykonujemy rozkazy itd. Były więc wprowadzone dyżury, które do niczego nie były potrzebne. I akurat wypadł

Chcieli, żeby wydawał im pan książki i dał zarobić?

– Nie tylko. Myślę, że lubili ze mną przebywać. Odbывało się to nie tylko na etapie przed podpisaniem umowy na wydanie książki i wypłaceniem zaliczki, także później. Choć myślę, że ten Biały Dom to był mój handicap. Że gdybym przyszedł z uczelni albo z WSNS, albo z czegoś podobnego, nie byłoby to dla nich interesujące.

Nie nudziliście się ze sobą.

– Nie! Uwielbialiśmy te spotkania. Ja w sposób naturalny – bo Stefan Kisielewski to była wielkość w owym czasie. Absolutnie. Myśmy bez przerwy o czymś gadali. Cały czas coś się działo. On mi opowiadał i ja mu opowiadałem. Tak to wyglądało.

O socjalizmie nie dyskutowaliście?

– Sprawy ideologiczne nie pojawiały się w naszych rozmowach. Czy można powiedzieć, że miałem poczucie winy z powodu miejsca, w którym pracowałem? I że próbowałem tym poczuciem winy ich kokietować? Nie! Oni z kolei byli za inteligentni, żebym ich takim mechanizmem mógł pozyskać. Godzili się na to, że mam swój życiorys, a ja godziłem się, że u nich obowiązuje teoria, że to jest ustrój przyniesiony na sowieckich bagnach i że trzeba jakoś w tym żyć. Pamiętam jedną rozmowę. Stefan nie wierzył, że ten system upadnie szybko, nie ukrywał tego, mówił, że będzie jeszcze trwał 50 lat. Że musi jeszcze zmutować. I upadnie, dopiero jak upadnie Rosja sowiecka. A to jeszcze potrwa. Dopiero jak zaczęło się dziać, Gorbaczow, Okrągły Stół – to uwierzył. Ale wtedy, w roku 1988 – nie.

Robert Walenciak